Rozmaitości

Nr 3.

Dnia 20. stycznia *1838 roku.*

SALWADOR.
POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Od tego dnia nie zaniedbała pani Laudon żadnéj sposobności wdzierania się między Salwadora, a jego narzeczonę; nie mając ani nad nim, ani nad sobą litości, starała się nieustannie podżegać w nim miłość, a nie zostawiać mu nadziei. Nieszczęliwy Salwador usiłował przybrać pozór spokojności, i oszukał wszystkich swoją powierzchownością, ale w sercu jego wichrzyły najdotkliwsze zgryzoty. Ileżto razy nie przedsiębrał upaść do nóg swojéj narzeczonéj i oświadczyć, że się zrzeka jéj ręki, bo jéj kochać nie może; ale zawsze wstrzymywała go od tego kroku cześć, którą miał dla danego słowa swego.

Teresa w niewinności serca swego nie domyśliwała się bynajmniéj téj walki i kochała go z zupełném zaufaniem. Surowe wychowanie klasztorne i wyobrażenia, z któremi wzrosła, nadały jéj pewien rodzaj powściągliwości, jednakże pod osłoną ukrywał się popędliwy charakter i namiętność ognista. Z początku patrzyła na swój nowy stan więcéj z zadziwieniem, aniżeli z radością. Wychowana od lat dziecięcych w ciasnym zakresie klasztornego pożycia, nie wiedziała bynajmniéj, co ją czekało na wielkim świecie; ale skoro odetchnęła wolném powietrzem, skoro poznała Salwadora, ujrzała, że całkiem nowy świat otworzył się przed jéj oczyma, i kochała całą mocą tkliwéj duszy dziewiczéj. Pani Laudon zaraz przy piérwszém spotkaniu się z swoją spółzawodnicą, przeniknąwszy bystrym wzrokiem na wskróś jéj serce, zaczęła bez litości walczyć z nią o miłość jéj oblubieńca, i nie pamiętna, że w téj okrutnéj walce nie tylko szło o szczęście Teresy, o przyszłość Salwadora, ale nawet o jéj własną spokojność, podała się zupełnie natchnieniu swéj zazdrości.

Byłoto z początkiem kwietnia; wieczory zaczęły być coraz krótsze, towarzystwo znudzone, nie zgromadzało się już tak licznie, jak przedtém, do domu pani D. Jeszcze tylko kilku poufnych przyjaciół i kilku cudzoziemców odwidzało ją czasem. Wiosna była tak miła, tak pogodna, że każdy dla użycia dni pięknych, na wieś pospieszał. Pani D. mająca w poblizkości Fontainebleau piękne pomieszkanie wiejskie, zaprosiła kilku z swoich znajomych. Zamyśliła tam bawić się podobnie jak w Paryżu; co wieczór miała być muzyka, tańce i teatr. Pani D. przed rozesłaniem listów zapraszających, zasięgnęła w téj mierze rady pani Laudon.

»Ja myślę,« rzekła, »zaprosić pannę de la Vega razem ze starą jéj towarzyszką i narzeczonym; na przyszłą zimę dóm jéj będzie bardzo przyjemnym, będziemy się u niéj wesoło bawić, dla tego chciałabym jéj wprzódy wyświadczyć jaką grzeczność, zwłaszcza, że jestem zaproszona na jéj wesele; spodziéwam się, że i ty zaproszoną jesteś.«

»Tak, sądzę,« odrzekła pani Laudon niedbale; »pan de la Vega chce zaprosić wszystkich znajomych.«

»Rzecz osobliwsza z tym człowiekiem, zdaje się, jak gdyby szczęście głowę mu zawróciło. Widziałam go wczoraj, całkiem się zmienił, zupełnie do siebie niepodobny. Cokolwiek mówi, bynajmniéj nie troszcze się o to, co i do kogo mówi, ani co mu i kto mu na to odpowiada; będąc wprzódy we wszystkiém tak poważnym i oględnym, zdaje się teraz

być przykrym i niecierpliwym, jak gdyby nigdzie nie mógł spokojności znaleźć; jeżeli się nie mylę ten człowiek miewa czasem przystępy urojenia...«

»Co za myśl!« odrzekła pani Laudon, »on jest takim, jak wszyscy inni.«

»Bo ty go często nie widujesz; ale przypatrz się mu tylko przez trzy lub cztéry dni, które z nami przepędzi, a zobaczysz, że to jest całkiem oryginał w swoim sposobie. Ale, ale, mówiąc o oryginale, przypominam sobie, żem także lorda Wilsona zaprosiła.«

»Nie widzę, aby ten człowiek na co nam był potrzebny.«

»Nie mielibyśmy suflera do naszego teatru; a przytém on będzie grał rolę twojego kawalera. *Xonni soit qui mal y pense!*«

»Ach, zapewne;« odpowiedziała z uśmiechem pani Laudon.

»Ty jesteś w saméj rzeczy bardzo zacną, rzadką kobiétą,« rzekła pani D. z przekonaniem; »gdyby wszystkie były tobie podobne, nie byłoby tyle zgorszenia w świecie. Tyś jeszcze nigdy nie kochała.«

»Kto wié?« odrzekła pani Laudon, wzruszywszy ramionami; »gdy się w czasie postarzejemy, wtedy ci wszystko powiém.«

Panna de la Vega przyjechała do pani D., ponieważ Salwador tam przyjechał, ale to obce dla niéj towarzystwo już z początku nie przemawiało do jéj serca, dla tego też i śród wiejskiego, nieprzymuszonego pożycia była unikającą i nieśmiałą. Oko jéj równie na wsi, jak wszędzie, ścigało tylko jednego Salwadora, a wszystko, co nim samym nie było, było dla niéj obojętném lub tylko małéj uwagi godném. Zaufanie jéj było tak wielkie, bezpieczeństwo tak zupełne, iż bez wszelkiéj zazdrości i bez najmniejszego podejrzenia bawiła obok swojéj spółzawodnicy, która już znowu swoje dawne prawa odzyskała. Nie raz dzieją się rzeczy, których czysty, młody umysł dziewiczy pojąć nie może!

Salwador znajdował się w tém przykrém położeniu, w którém się człowiek nadaremną walką wysila. Ażeby do niego się zbliżyć, pani Laudon użyła okrutnego przebiegu; zostawała bez ustanku obok Teresy, obiedwie bawiły się z sobą jak gdyby największe, nierozerwane przyjaciółki. Ten rodzaj poufności zdawał się wszystkim być bardzo naturalnym, jeden tylko Wilson był niezmiernie zdziwiony; nie pojmował on bynajmniéj tego rodzaju miłości i jako powiernik i przyjaciel, sądził się być obowiązanym udzielenia pani Laudon w téj mierze rady swojéj.

»Moja najdroższa,« rzekł do pani Laudon, »ta namiętna miłość sprawia pani wiele zmartwienia; ja, na jéj miejscu, umiałbym się jéj zrzéć i wyjechałbym natychmiast, aby przynajmniéj nie być na weselu, które cię do rozpaczy przywiedzie.«

»O, nie, nie!« odrzekła z płaczem, »jestem wprawdzie bardzo nieszczęśliwą, wszelako tu zostanę; kocham go i wiecznie kochać będę.«

Na te słowa rzekł Jérzy Wilson z zupełném przekonaniem: »Prawda, przeciw temu nié ma co powiedziéć.«

Po ośmiu dniach nie było już ani muzyki, ani tańców, ani przedstawień scenicznych; towarzystwo używało zabaw wiejskich i przechadzek dalekich. Na dzień przed wyjazdem wybrali się wszyscy bardzo wcześnie po raz ostatni do lasu, w którym już pierwiosnki kwitnęły. Teresa szła prowadzona przez swojego Salwadora; pani Laudon starając się ukryć boleść serca swego, była uprzejmą i nadzwyczaj wesołą. Wszystko troje szli w oddaleniu za drugimi, którzy już przy kończynach lasu swowolnéj oddawali się ochocie.

»Odpocznijmy cokolwiek, niech tamci sobie idą,« rzekła pani Laudon, stanąwszy. »Nie jestże to unudzającą rzeczą, przez całe dwie godziny przedzierać się przez krzaki? Zostańmy; tu jest piękne ustronie.«

Miejsce, w którém się znajdowali, było zupełnie samotne; po jednéj stronie stały wielkie, rozłożyste drzewa zaczynające się nowym liściem odziéwać; promienie słońca, migocąc przez gęste gałęzie i przedziérając się ku ziemi, malowały na świéżo zielonéj murawie siatkę z światła i cieni. Mały staw toczył opieszało swoje modre fale aż pod sam koniec lasu; brzegi jego, po nad którémi kilka pliszek poskakiwało, obsadzone były wiérzbami, a wysoka trzcina, wietrzykiem poruszona, uginała się po nad wodę z szelestnym poszeptem. Na około nie było widać ani śladu człowieka; jedno tylko czółenko do wiérzby upięte, okazywało, że czasem po téj cichéj wodzie ludzie pływają. Teresa usiadła sobie na leżącym odziemku

topoli, patrzyła długo w około siebie i obróciwszy się do Salwadora rzekła:

»Jak miłe, jak przyjemne jest to odludne miejsce! teraz dopiéro pojmuję tych świętych ludzi,, którzy w pustyniach się kochali.«

»Jako?« przerwała pani Laudon, »czy panna Teresa sądzi, iż można być szczęśliwym, prowadząc życie samotne?«

»Samotne życie, bynajmniej,« odrzekła Teresa otwarcie, »ale dwoje razem w pustyni, pośród lasu! Podobno możnaby szczęśliwszym być, niźli na jakiém inném miejscu, nie prawdaż?« To mówiąc obróciła się ku swemu narzeczonemu, ale w téjże chwili spuściła w dół oczy; Salwador jéj nie słyszał, bo wlepił swe oczy w panią Laudon, która zdała się być zupełnie w myślach zatopioną. Młoda, niedoświadczona dziewczyna w niewinnéj szczérocie swojéj nie była domyślną, miała się téj chwili za najszczęśliwszą! Nareszcie położywszy małą swą rączkę na ramieniu Salwadora, odezwała się z nieśmiałością: »Czy nie moglibyśmy tego lata przepędzić na wsi? Jak się wćpanu zdaje?«

Salwador skinął, że się zgadza z jéj zdaniem. Pani Laudon zerwała się z pośpiechem z miejsca; uczuła niezbędną potrzebę jakiegoś wzruszenia, życzyła sobie w téj chwili jakiéj przygody lub niebezpieczeństwa. Chwyciwszy się zwieszonych roszczek wierzby, wychyliła się śmiało nad tonie wody, i tak trzymając się jedną ręką, zrywała drugą niewonny kwiat z trzciny wystający. Salwador widząc ją w ten sposób się bawiącą, drżał z przestrachu;. ona postrzegła to i cieszyła się niewymownie.

»Życzyłabym sobie płynąć trochę tém czółném,« rzekła i wskoczyła nagle w czółno; »proszę, popłyniemy!«

»Ach!« ozwała się młoda i nieśmiała Teresa, »woda jest głęboka, a może...«

»Któż wie, czy my w tym korabiu bezpiecznémi będziemy,« rzekł Salwador.

»Wćpan się boisz!« odrzekła pani Laudon z uśmiéchem.

»Nie o mnie idzie,« odpowiedział z żywością; »ja umiém pływać.« I wskoczył do czółna, do którego natychmiast wsiadła także i Teresa, mówiąc: »I ja się nie boję.«

Salwador jął się do wiosła, i kołysząc się na szklannéj powodzi, wypłynęli aż na sam środek stawu. Teresa wzdrygnęła się i przywarła oczy.

»Przez Boga! pani jesteś słabą,« rzekł Hiszpan, postrzegłszy, że pobladła na twarzy.

»Mnie się głowa kręci,« odrzekła, usiłując pokryć swoję trwogę uśmiéchem; »jeszczem nigdy nie była na czółnie.«

»Ależ tu nie masz najmniejszego niebezpieczeństwa,« odezwała się pani Laudon, uważając z wewnętrznem nieukontentowaniem trwożliwość Salwadora.

W téj chwili wybiegł z lasu jakiś mężczyzna, mający ubior strzelca: »Hej, moje państwo! do brzegu, do brzegu z czółnem!« zawołał z oznaką przestrachu; »wracajcie państwo natychmiast, bo inaczéj utonąć możecie!«

Salwador, nie pojmując dokładnie niebezpieczeństwa, pochwycił znowu wiosło, ależ téj saméj chwili czółno uderzyło o pal, znajdujący się w wodzie, a na pół spruchniałe deski roztrzaskały się i zatonęły pod ciężarem, który dźwigały. Obiedwie niewiasty wydały krzyk okropny i w jedném czasie zanurzyły się w wodzie.

»Liwio!« zawoła Salwador, ująwszy ją całą mocą; »Liwio, nie bój się, ja cię ocalę!«

I tak jedném ramieniem trzymając ją w pół, drugiém z całém natężeniem płynął pośród szuwaru, gdzie o mało życia się nie zbawił. To wszystko nie trwało dziesięciu minut — ale było wiekiem dla zostających w przestrachu i rozpaczy! nareszcie dostali się do brzegu.

Pani Laudon padła jak nieżywa na murawę, a Salwador zadyszały i zdrętwiały z przestrachu, powiódł osłupiałym wzrokiem po za siebie, ale oko jego nie dostrzegło już nikogo pośród cichéj wody, tylko liść trzciny szeleściał smutno po nad jéj brzegami.

»Tereso!« zawoła Salwador, »Tereso!« i w okamgnieniu rzuca się znowu w wodę.

»Dla miłości Boga! co pan czynisz? Już za późno!« zawoła strzelec na drugiéj stronie brzegu. »Nadaremnie narażasz swe życie! Ona już utonęła!«

Salwador, nie zważając na tę przestrogę, zebrał wszystkie swe siły, i popłynął na miejsce, gdzie się łódka rozbiła; pornął kilkakroć pod wodę; nareszcie ujętego za włosy wyciągnął za sobą trupa.

Cały ten okropny przypadek zdarzył się w przeciągu jednego kwadransa; ta krótka chwila była dostateczną do zgubienia anioła w dziewiczéj postaci. Ale ta nieszczęśliwa może dopiéro w ostatniéj chwili poznała serce Salwadora i umarła słysząc go wołającego: »Liwio, ja cię ocalę.«

Po tém nieszczęśliwém zdarzeniu już tylko miłość pani Laudon mogła jeszcze przy życiu utrzymać Salwadora; tylko w jéj obecności zapominał o zgryzocie, która od owego dnia krwawo udręczać go nie przestawała tą myślą, że Teresę od śmierci mógł wybawić, a zaniechał. Namiętność jego wzmogła się jeszcze bardziéj, że tyle ucierpiał dla téj niewiasty, któréj miłość dla niego tak zgubną była. Podobnie jak w czasie piérwszego z nią poznania się, trapił ją bez wytchnienia swoją zazdrosną miłością. Jak ów skąpiec i dzień i noc swojego skarbu pilnujący, tak i on czuwał nad nią z największą zawiścią. Ale od dawna już kochał ją tylko sam jeden, pani Laudon umiérała prawie z nudoty i uprzykrzenia. Zazdrość była wprawdzie znowu obudziła miłość w jéj sercu, ale gdy nieszczęsnym przypadkiem pozbyła się swojéj spółzawodnicy, gdy znowu z Salwadorem sam na sam została, dawna oziębłość znowu zajęła jéj serce. Nadaremnie przemyśliwała nad sposobami zerwania powtórnie swoich więzów; Hiszpan ścigał ją miłością, tak nienasyconą, iż z nich powtórnie wydobyć się nie mogła.

Tymczasem w kilka miesięcy przypadek wydarzony w rodzinie Salwadora, przyszedł pani Laudon na pomoc. Drugi stryj Salwadora, dowiedziawszy się, iż tenże w obcym kraju, przez nieszczęsny przypadek, razem z swą narzeczoną utracił nadzieję odziedziczenia po niéj wielkiego majoratu; umiérając zapisuje mu testamentem swe posiadłości, z obowiązkiem opiekowania się dalekiemi krewnémi. Rząd hiszpański, ogłosiwszy krewnym testament, wezwał publicznemi pismami Salwadora, by się stawił osobiście do objęcia majątku i opiekuństwa. Salwador nie chciał jechać, ale pani Laudon użyła wszelkich ku temu sposobów; przypominając mu i honor, i powinność i majątek, którego zostaje panem, skłoniła go do tego kroku. Wszelako przysięgła, iż mu wiecznie wierną zostanie i niczyją nie będzie, jak tylko jego; tym sposobem wymogła na nim, że się z nią na jakiś czas rozłączył.

(Dokończenie nastąpi).

LECAIN W PROWANCYI.

Podług Eug. Guinot.

»Przeklęte rzemiosło! Człowiek czuje w sobie jeniusz, ma Boga w piersi, a tu mu każą grać służalców, wieśniaków i żołniérzy, wynosić listy i ustawiać stołki, słuchać najpiękniejszéj wymowy i odpowiadać na nie *Tak*, albo *Nie*, jedném słowem!« rzekł sam do siebie zniechęcony Dogard, jeden z podrzędnych aktorów teatru marsylskiego. »Jestem przecież piękny mężczyzna, dobrze zbudowany,« mówił daléj, »czuję w sobie zdatność i siłę, mam czucie i pamięć, umiém piérwsze role z wszystkich trajedyj. Zaiste, nie na środkach mi zbywa, ale na sposobności rozwinienia mego talentu przed publicznością!«

Nazajutrz miał Dogard odegrać jednę z najlepszych ról podrzędnych. Chęć popisania się uwiodła go tak dalece, że ją oddał z największą przesadą i nieprzyzwoitą patetycznością. To wyszczególnienie się nie w swojém miejscu, uczyniło go śmiesznym, słowem, wygwizdano go!

W tymże samym czasie wielka nowina zatrudniała w niepowszedny sposób mieszkańców Marsylii: Lecain zamyślił w Prowancyi występować w rolach gościnnych. W r. 1774 potrzeba było trzech tygodni z Marsylii do Paryża jechać; mało osób odbywało podtenczas tę wielką podróż, i dla tego mało mieszkańców prowanckich widziało tego wielkiego artystę w *Théatre français*. Tego samego wieczora, gdy Dogarda wygwizdano, odebrał dyrektor list Lecaina i czytał go swym aktorom za kulisami. Sławny ten traik donosił dyrektorowi, że się podróż jego do Prowancyi o dni ośm spóźniła i prosił go, aby o tém doniósł swemu koledze, dyrektorowi w Aix, który przybycia jego już się dnia następującego spodziéwał. W kwadrans poźniéj wziął reżyser Dogarda na stronę i oddał mu list ze zleceniem oddania go natychmiast posłańcowi, który miał nazajutrz do Aix odjeżdzać, i aby upomniał go, zaraz za swém przybyciem wręczyć list dyrektorowi teatru.

Z niesmakiem przyjął Dogard to poniżające zlecenie, a idąc drogą czynił sobie ulgę wywieraniem słów obelżywych. Nagle błysnął mu promyk nadziei i spędził chmurę z jego czoła. »Jestto natchnienie z nieba!« zawołał z uniesieniem. »Ale za śmiało, bardzo śmiało!« dodał potém z rozwagą. »Lecz, mniejsza o to!« rzekł ze stałością; »w mojém położeniu mogę wiele zyskać, a nie mam nic do stracenia. Jeniuszu i ty odwagą wspierajcie mię! Naprzód Dogardzie!« To mówiąc podarł list i doniósł reżyserowi, że go oddał w przeznaczone ręce. Nazajutrz zaś wziąwszy kij w rękę wyszedł z Marsylii jeszcze przed wschodem słońca i udał się pieszo do Aix, gdzie stanąwszy w południe, przedstawił się natychmiast dyrektorowi tamtejszego teatru z tém oświadczeniem: »Otóż jestem, mój przyjacielu! przyrzekłem, że dziś przyjadę i dotrzymałem słowa.«

»Przede wszystkiém, proszę mi powiedzieć, kto wćpan jesteś,« zapytał z dumą, zdziwiony dyrektor.

»Któż inny jeżeli nie Lecain!«

»Jako? waćpan Lecain? waćpan?... O, jeźli tak, proszę tysiąckroć razy o przebaczenie, żem wćpana grzeczniéj nie przyjął! Ale, któżby się był mógł spodziewać...«

»Aby Lecain przybył do Aix w takim ubiorze? Nie prawdaż, chciałeś wćpan powiedzieć? i bardzo słusznie; ale to jest rzecz całkiem prosta. Na drodze miałem to nieszczęście, żem wpadł w ręce rozbójników Gasparda de Bessa, którzy mnie do szczętu zrabowali. Ci urwisze zabrali mi wszystkie moje pieniądze — dwadzieścia tysięcy franków, które zarobiłem w Lugdunie, całą moję garderobę, która dziesięć tysięcy talarów mnie kosztowała — nawet moję karétę w kawałki zgruchotali. Służący mój, widząc mnie w niebezpieczeństwie uciekł hultaj, co mu nóg stało, i zapewne dotąd ucieka!... Otóż widzisz wćpan, mój drogi przyjacielu, do jak smutnego stanu bandyci, grasujący w twéj okolicy, przyprowadzili piérwszego traika francuzkiego!«

Dyrektor ubolewał niezmiernie nad tym nieszczęśliwym przypadkiem i ofiarował mu naprzód znaczną kwotę jako honoraryjum za gościnne role, w których miał występować, a Dogard przyjął ją bez wahania.

Nie upłynęła godzina, a już całe miasto Aix wiedziało o przybyciu Lecaina i o całém jego nieszczęściu. Zewsząd cisnęły się tłumem do sławnego artysty wizyty i ofiarowano mu swoje usługi. Kawaler de Castallane posłał mu do usługi własnego pokojowca, wszystkie sakiewki były dla niego otwarte, a pan O., w którego domu podczas ostatnich zapust przedstawiano trajedyje, darował mu całą kosztowną garderobę swojego domowego teatru. Skoro Dogard ufryzowany podług najnowszéj mody przez pokojowca p. Castallana wdział na siebie bogate suknie, okazała się w saméj rzeczy jego piękna postać w najkorzystniejszém swietle, tak dalece, iż wszyscy, gdy szedł na próbę, podziwiali go, a szczególniéj kobiéty.

»Takim, a nie innym,« rzekł do niego dyrektor, gdy wszedł do sali; »wystawiałem sobie sławnego artystę Lecaina: wysokiego wzrostu, smukły, piękny i szykowny! Czytałem wprawdzie nie dawno recenzyję, w któréj wćpana opisywano nizkim, tłustym i brzydkim. Ale to istotna potwarz, jakem się zaraz domyślił; złośliwe oczernienie!«

»Zasłudze nie zbywa nigdy na zawistnych! Znam ja tę recenzyję, Marmontel jéj twórcą, jestto wdzięczność, że poprawiałem jego wiersze... Szczęściem dla mnie, że piérwsze moje wystąpienie zbije wszelkie jego potwarze.

W dniu, w którym po piérwszy raz wystąpił, cisnęła się tłumnie publiczność do teatru, w celu podziwiania sławnego Lecaina w rolach króla Władysława i cesarza Nerona. Dogard kazał sobie w południe dać dobry obiad; trzy butelki szampana dodały mu zapału i odwagi! Wystąpił na scenę z największą otuchą, deklamował z rozumem; ale nie zbywało mu na przesadzie i giestykulacyi excentrycznéj; tegoto mamidła płytkich aktorów. Publiczność była zachwyconą; dając oklaski rękami i nogami, głośnym okrzykiem wynurzyła pochwały. Żaden jeszcze artysta w Aix tak wielkich nie uzyskał oklasków. Najznakomitsi młodzi kawalerowie wywiedli go po skończonéj sztuce z teatru, i w tryumfie odprowadzili do oberzy, gdzie spaniała zamówiona była wieczerza. Uzacniony artysta był królem tego festynu. Po skończonéj biesiadzie grano w karty, a Dogard wygrał trzysta luidorów.

»Anim myślał,« rzekł Dogard nazajutrz sam do siebie, aby tak łatwo zostać wielkim człowiekiem!«

Jak świetnie wypadła pierwsza rola, tak świetnie wypadły także inne. Brano go we wszystkie towarzystwa, wyszczególniano przed wszystkimi, a najbardziéj kobiéty brały go w swoję opiekę.

W dniu, w którym szósty raz występował, odebrał z rana bilet, w którym mu młoda wdówka, mająca pietnaście tysięcy rocznego dochodu, ofiarowała swoję rękę, pod warunkiem, jeżeli się zrzeknie teatru i będzie z nią żył w okolicy Nicy w jéj zamku. W tym liście oznaczyła także przechadzkę, gdzie się samotnie z nią znajdować i ustnie jéj powiedzieć może swoje postanowienie.

Tego samego dnia przybył jeden podróżny do oberzy: »Pod czarnym mułem,« która w owym czasie była w mieście Aix najsławniejszą i z zadziwieniem przeczytał afisz, na którym szumnemi wyrazami zapowiedziana była szósta rola gościnna aktora królewskiego i piérwszego traika francuzkiego Lecaina. Podróżny ten chciał miéć dla siebie trzy pokoje, atoli gospodarz ubolewał, że nié ma jak tylko jeszcze jeden pokój, gdyż cały dom zajęty jest przez gości, którzy z poblizkich okolic przybyli dla podziwiania Lecaina; a sam sławny ten artysta zajmuje całe piérwsze piętro. Zdziwienie podróżnego doszło do najwyższego stopnia. Kazał więc, aby mu otworzono pokój na trzeciém piętrze, a potém zeszedł na piérwsze piętro dla przedstawienia się panu Lecainowi.

»Proszę mi darować,« rzekł wszedłszy do pokoju Dogarda, »czy mam zaszczyt mówić z samym panem Lecainem?«

»Z nim samym!« odrzekł Dogard z pyszną miną. »Czegoż wćpan żądasz ode mnie?«

»Podziwiam talent wćpana!«

»Jesteś bardzo łaskaw, mój przyjacielu!«

»Jestem wprawdzie tylko aktorem z prowincyi, ale człowiekiem ambitnym i chciałbym się wyszczególnić od innych. Zdanie wćpana, jako znawcy, będzie dla mnie stanowczém. Czy nie byłbyś łaskaw pozwolić mi abym przed nim przedeklamował jednę scenę?«

»Bardzo chętnie, mój przyjacielu, słucham!«

Podróżny zaczął deklamować scenę z *Tankreda*. Dogard usłyszawszy mistrzowską deklamacyję piérwszych wiérszy, zbladł, daléj zaczął drżéć na całém ciele, a nareszcie rzucił się do nóg podróżnemu, mówiąc: »Wacpan jesteś Lecainem! Nie rób mnie nieszczęśliwym, i przebacz moję zuchwałość!« Rzeczywisty Lecain podniósł go z łaskawością, a Dogard opowiedział mu otwarcie cały tok rzeczy. Gdy skończył, Lecain rzekł:

»Widzę przynajmniéj, żeś nie zhańbił mego nazwiska, i że jesteś zdatny człowiek. Z resztą figiel ten nie jest najgorszy! Jakąż dzisiaj wyznaczysz dla mnie rolę?«

»Vendome.«

»Dobrze, jestto moja najlepsza; wszelako chciałbym widzieć jak ty ją grać będziesz.«

Po skończonéj przedstawie rzekł Lecain do Dogarda: »Grałeś jak szalony, lecz nie bez wrażenia. Kto wié, czybym się tak jak ty był podobał, gdybym tę rolę był grał moim sposobem! Masz talent, lecz jesteś na złéj drodze. Jedź ze mną do Paryża; ja się ujmę za tobą, abyś grywał role celniejsze.« Dogard przyjął ten wzgląd z największą podzięką.

Nazajutrz stanął Dogard na umówionéj schadzce. Wdówka przyjęła go uprzejmie. Miała lat ledwo dwadzieścia i pięć, piękne oczy i bardzo przyjemną postać. Rozmowa trwała długo; ale już w piérwszych chwilach zgodzono się na wszystko.

»Więc pani żądasz koniecznie, abym się zrzekł teatru?« zapytał nareszcie Dogard.

»Koniecznie!«

Ponieważ więc ani moim kunsztem, ani Lecaina nazwiskiem nie pozyskałem sobie serca pani, przeto ośmielam się wyznać, że to nazwisko jest tylko pożyczone, gdyż ja właściwie Dogardem się nazywam.« Poczém wyznał wszystko szczérze przed piękną wdówką, podobnie jak przed Lecainem i prosił o przebaczenie.

Czegoż nie przebaczy rozkochana kobiéta? — W ośm dni poźniéj oddała mu piękna wdówka przed ołtarzem swą rękę, a Dogard uszczęśliwił ją i był nawzajem szczęśliwym.

— Ze Lwowa. —

Znany z gorliwości swojej o dobro powszechne, mąż pełen cnót obywatelskich, Stanisław Wronowski, były radzca c. k. Sądów Szlacheckich Lwowskich, zbierając przez długi przeciąg swojego życia dzieła rozmaite i nagromadziwszy je do znacznéj mnogości, a mając na celu korzyść publiczną, ofiarował temi dniami z księgozbioru swojego zakładowi naukowemu imienia Ossolińskich 12.000 ksiąg w różnych językach, z których połowa już się w murach zakładu znajduje. Oby mąż ten zacny długo jeszcze między nami przebywał! *A. O.*

W N. 18. i 19. niemieckiego pisma praskiego: *Ost und West*, w artykule J. P. Kaubka: »Udzielenia o polskiej literaturze,« jest wspomnienie: 1) o naukowym *Pamiętniku krakowskim*; 2) o *Sławianinie*; 3) o *Pieśniach ludu galicyjskiego*; 4) o *zbiorze pieśni polskich i ruskich* K. W. Wojcickiego, i o drukującym się obecnie w Przemyslu takimże zbiorze Żegoty Paulego; 5) o pięknem i całkowitém przetłumaczeniu *Wallensztajna* (raczéj Waldsteina) Szyllera, przez J. N. Kamińskiego i t. d.— Recenzent gdzie niegdzie przesadzonych i zbyt szydnych nie szczędząc uwag, wspomina pochwalnie jako znanych z gładkiego pióra: hr. Alexandra i Józefa Duninów Borkowskich (ostatniego z dokładnej znajomości staro- i nowogreckiego języka), hr. L. Jabłonowskiego, D. Magnuszewskiego, K. W. Wojcickiego, J. N. Kamińskiego

i innych. — Jest tam także wspomnienie o piśmie Adama Kasperowskiego: »Tygodnik rolniczo-przemysłowy.« *A.*

Gazeta Poznańska z dnia 2. b. m. donosi: W tych dniach wyszły w Poznaniu z druku *Pamiętniki Otwinowskiego*, żyjącego za czasów Augusta II. Zaledwo nadmienić tu potrzeba, kto dzieła tego jest wydawcą; albowiem publiczność nasza nawykła od lat wielu słyszeć o coraz nowych dziełach, któremi literaturę polską *p. hr. Edward Raczyński* nieprzestannie zbogaca, domyśli się łatwo, że czcigodny mąż ten jest i *Pamiętników Otwinowskiego* wydawcą. — »Autor tych Pamiętników (powiada w przemowie wydawca) nie jest prostym kronikarzem, zapisującym pojedyncze zdarzenia, jak jedne po drugich następowały, albo o nich zasłyszał. Zgłębia on ich przyczyny, wykazuje skutki, odsuwa zasłonę wielu tajemnic i odkrywa sprężyny, które do złych lub dobrych czynów osoby działające pobudzały. Bezstronność, rzadki a niezbędny przymiot historyka, cechuje wszędzie dzieło tego autora. Obrazy jego nie są pochlebne, cierpkie, ale w większéj części wierne.« — Nie wątpimy, że Pamiętniki te z równém jak *Pamiętniki Paska* czytane będą upodobaniem, a szanowny wydawca upowszechnieniem ich przez druk nowe do naszéj wdzięczności uskarbił sobie prawo. — W téjże Gazecie Poznańskiéj czytamy zapowiedzenie, iż od Wielkiéj Nocy r. b. wychodzić będzie w Poznaniu *Tygodnik literacki*, pod redakcyją pana Wojkowskiego, mającego mieć znaczne ku temu celowi przysposobienia i przyobiecaną pomoc od wielu znakomitych literatów. Donosząc o tém Gazeta Poznańska ubolewa, że Poznań, nie wiedzieć czemu przypisać, czy niezdolności dotychczasowych redaktorów, czy też obojętności lub przesadzonym wymaganiom czytelników, nie mógł dotychczas utrzymać ani jednego pisma peryjodycznego, poświęconego piękněj literaturze. »Widzieliśmy z żalem,« powiada, »jak w upłynionych latach *Mrówki*, *Pisma miesięczne*, *Weterany*, jedne po drugich upadały.«

Tygodnika rolniczo-przemysłowego, wyszedł N. 11. i obejmuje przedmioty następujące: Co jest doświadczenie gospodarskie? O karmie owiec kartoflami. Słówko o fabrykacyi cukru sposobem Schutzenbacha. O cukrze z kukurudzy. Miód pity podobny do wina. Ciekawy sposób gotowania ryb. Polowanie na lisy w Anglii. Cena psów myśliwych w Anglii. Sposób garbowania skór w Pondychery w Indyjach. Wyprawa skór safijanowych w Krymie.

Z Warszawy. Pan Kozłowski, profesor gimnazyjum gubrn. warszawskiego, ogłosił prospekt na dzieło pod tytułem: *Rys statystyki ogólnéj porównawczéj pod względem darów przyrodzenia, ludności, przemysłu pierwotnego rękodzielnego, fabrycznego, handlu i kultury państw Europy*. Wyszły tu w tych dniach na widok publiczny: *Bal w resursie* i *Dworek na Topielu*, powieści dla młodzieży przez autorkę »Powiastek dla dzieci.« (K. W.)

Z Petersburga. D. 25. listopada 1837 r. umarł tu po długiéj chorobie rzeczywisty radzca stanu Stepanow, w 57. roku życia. Znany on jest w literaturze rossyjskiej jako autor romansu, pod tytułem: *Dom zajezdny*. Oddając się ciągle pracom literackim, napisał wkrótce przed śmiercią drugi romans: *Tajemnica*. Szczególniéj zaś zasłużył na zaszczytną wzmiankę w literaturze przez *Opisanie gubernii Jenissejskiéj*, które służyć może za dokładne źródło wiadomosci o kraju nader ciekawym. (G.R.K.P.)

Czasopis dla Żydów. Z początkiem tego roku zaczęło wychodzić w Monachowie: *Peryjodyczne pismo dla Żydów*.

Nowy teatr w Paryżu. Nowy teatr *Odeon* otworzono trajedyją *Cyną* i *Skąpcem* Moliera. Sala teatru ozdobiona jest przepysznie i smakownie. Na powale widać wizerunki Kornela, Rasyna, Moliera, Regnarda, Beaumarchego, Woltera, Szyllera, Szekspira, Lopez de Vega, Alfierego, Goldoniego, Sofoklesa i wielu innych. Na dwunastu kolumnach przedstawione są z ich najcelniejszych dzieł sceny najgłowniejsze.

Wynalazek. Mechanik Michel w Offenbachu wynalazł prostą i mocną machinę, za pomocą któréj, jak on utrzymuje, przeprawić się można przez rzekę, a nawet morze, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo zatonienia. Narzędzie to, gdy jest rozłożone, ma prawie pięć stóp w przecięciu i otwór w środku, w który podróżny wstępuje. Machinę tę, gdy jest złożona, może każdy wygodnie nieść pod pachą, nie waży bowiem całych pięciu funtów. Wynalazca doświadczył już kilka razy bardzo pomyślnie téj machiny na Renie. Porusza on ją we wszelkich kierunkach bez wielkiego natężenia. Celem okazania widocznego pożytku z tego nowego wynalazku, zamyśla wsiąść na tę lekką machinę w okolicy pod Kehl i płynąć na niéj aż do samego ujścia Renu.

Gaze Victoria. Anglija się emancypowała, idzie swym własnym torem i ma także swój własny trybunał mody. Młoda, urodziwa królowa, któréj Anglicy z bezprzykładnym zapałem składają hołdy i w każdéj sposobności starają się dawać tychże dowody, dała także powód do nowéj materyi, która się *Gaze Victoria* nazywa. Jestto lekka, brylantowana kitajka. Nazwisko Wiktoryja wyhaftowane jest srébrem na małych pelerynach z różowego atłasu, podszytych gronostajami. Damy wdziewają te peleryny jadąc na teatr lub odwidziny.

Apslej-house, pałac księcia Wellingtona. Kosztowne, złote i srebrne naczynia, i wszystkie inne podarunki i pamiątki nieocenionéj wartości, któremi wszyscy monarchowie europejscy obdarzyli walecznego książęcia Wellingtona, wystawiane bywają w spaniałym jego pałacu corocznie w dzień uroczystości wygranéj bitwy pod Waterloo na widok publiczny. Same kruszce kosztowne, które w tém miejscu w całym blasku są zgromadzone, szacują na trzykroć sto tysięcy funt. sztrl. Wielka galeryja, która według zdarzonéj sposobności raz się urządza na bankiet Lukulla, raz znowu na świetną salę balu, bieży przez cały front budowli z wschodu na zachód, a na końcu jéj przedstawia się najspanialszy widok przepysznego zwierzyńca. Długość téj galeryi wynosi stóp dwieście, a szerokość stóp 85. Przepyszna sala ta obita jest bogato adamaszkiem w kolorze bursztynowym i cytrynowym, a powała, gzymsy i odrzwi ozdobione są wyzłacaną robotą snycerską. Obrazy są doskonałym zbiorem najsławniejszych arcydzieł szkoły flamandzkiéj, włoskiéj, hiszpańskiéj, francuzkiéj i weneckiéj. Podczas ostatniéj uroczystości umieszczona była po każdéj stronie ogromna *étagère* z wszelkiém złotem i srebrem księcia, między któremi najpyszniejszym przedmiotem była srebrna pozłacana, ogromnéj wielkości tarcza, którą monarchowie europejscy na pamiątkę jego zwycięztw zrobić i wręczyć mu kazali. Pomiędzy naczyniami stołowémi widać było dwa marmurowe kandelabry z postumentami, mające dwanaście stóp wysokości, a dwadzieścia i pięć cetnarów ciężkości, wyciosane z jednéj sztuki rossyjskiego marmuru, darunek cesarza Alexandra. Od tego samego cesarza pochodzą także dwie wielkie, spaniale zrobione wazy marmurowe, które ustawione przy północnéj i południowéj ścianie sali, napełnione były olbrzymiemi bukietami zagranicznych kwiatów. Trzy kandelabry złote, dane księciu od gminy londyńskiéj, każdy z nich przedstawiając w wielkości przy-

rodzonéj pieszego żołnierza z chorągwią tych narodów, które w owéj pamiętnéj bitwie najszczególniéj się popisały, błyszczą w całéj okazałości na wielkich stołach, gdzie także znajduje się waza z szczérego złota, którą zrobić kazała szlachta angielska dla swego bohatéra. Nie zbywało także na przedziwnych naczyniach stołowych z saskiéj porcelany z okazałemi malowidłami z Drezna, których każda sztuka przedstawiała utarczkę albo rycerski czyn jakiego znanego oficéra. Naczynia te są, rzećby można, porcelanowémi dziejami wszystkich wypraw książęcia; jest tu bowiem wyryte każde jego zwycięztwo w Indyjach, na półwyspie i pod Waterloo. Świetny ten gmach, krom pysznych kandelabrów, o którycheśmy nadmienili, oświetlony jest jeszcze od kopuły prawdziwém słońcem złożoném z świateł tysiąca, w tym sposobie, iż pośród téj magicznéj jasności przedstawia prawdziwie czarodziejski zamek oryjentalny, jaki dotychczas tylko w »Tysiąc i jednéj nocy« wyczytać można było. Pokój obity karmazynowo, zapełniony jest portretami prawie wszystkich walecznych jego spółuczęstników boju, między którémi najkosztowniejszy i nadzwyczajnéj piękności jest portret marszałka Beresforda, tudzież portret ostatniego króla angielskiego, Wilhelma IV. Ale najciekawszym jest obraz p. Wilkie, darunek Jerzego IV., przedstawiający inwalidów z Chelsc, czytających ciekawie gazetę z doniesieniem o bitwie pod Waterloo.

Buty Wellingtona. Gdy książę Wellington, powiada *Courier*, oddawał nie dawno wizytę w pałacu Buckingham, w potocznéj rozmowie zapytała go królowa, jak też nazywają buty, które on nosi. »Jeżeli się nie mylę, nazywają je butami Wellingtona,« odrzekł książę. »A to jest prawdziwém zuchwalstwem,« odezwie się królowa, »gdyż ciekawa jestem wiedzieć, gdzieby też parę Wellingtonów znaleźć można!«

Osobliwsze upodobanie. Pewna bogata obywatelka w Belgii zapisała jednemu muzykowi w Bruxelli 4000 franków z tym warunkiem, aby każdego roku w dzień jéj śmierci odegrał jednę sztukę na trombonie.

O czasy, o obyczaje! W jednéj z najludniejszych ulic Paryża stoi napisano nad drzwiami sklepu: *Fusils pour les femmes* (strzelby dla dam); a na przeciwko u jednéj szwaczki: *Corsets pour les hommes* (sznurówki dla męzczyzn)!

Moda. Kapelusz różowy z aksamitu z wygiętą w górę kanią, ozdobiony po jednej stronie piórami śnieżnemi, po drugiéj rozetą z wstążek, z któréj spadają trzy długie różowe wstążki atłasowe, jest w smaku hiszpańskim i bardzo imponującym.

Krwawa wdzięczność. Parobek rzeźnicki zgubiwszy pulares, a w nim kilkaset zł. reń., które mu dał gospodarz na zakupienie wołów, wpada bez tchu, jakby bez zmysłów do wiejskiéj karczmy. Nędzny, ubogi krawiec, prawie codziennie z głodu mrzący, wstaje ed stołu, dopytuje się jakito był pulares, a przekonawszy się, że był ten sam, który on znalazł, oddaje go z całą kwotą rzeznikowi, nie żądając od niego żadnéj innéj nagrody, jak tylko zapłaty kilkunastu krajcarów za trunek, który wypił. W kilka chwil później postrzegł krawiec, że posługacz karczemny pisał na drzwiach numera, a zapytawszy coby one znaczyły, dowiedział się, iż te właśnie wyszły na loteryi wiedeńskiéj. Krawiec, który także na loteryję postawił, zmienił się na twarzy i wykrzyknął z radości: »Bóg mnie nagrodził! oto jest moja kartka, wygrałem terno na tysiąc pięćset złotych reńskich srébrem.« Wszyscy cieszą się serdecznie jego szczęściem, i radzą mu, aby się udał natychmiast do poblizkiego miasteczka i pokazał kolektantowi swoję kartkę. Rzeznik bierze go z radością do swojego powozu i odjeżdża z nim jak najspieszniéj. W kilka godzin poźniéj wieś wzywa gospodarza karczmy, jako człowieka przysięgłego, by się udał do lasu oglądać trupa. Ale niestety! kogoż znajduje ten gospodarz? Oto tego samego poczciwca, krawca, który do szczętu obnażony, mając siedm ran w piersi, bez duszy leży na ziemi. Jakkolwiek ta myśl zdaje się być nieludzka, jednakże gospodarz miał najprzód podejrzenie na rzeźnika, pośpieszył natychmiast do poblizkiego miasteczka, i udawszy się do kolektanta, kogoż tam zastaje? Oto tego samego parobka, upominającego się właśnie o wypłatę przez krawca wygranego terna. Schwytany, zeznaje przed sądem zbrodnię najszkaradniejszéj niewdzięczności.

Doniesienie Adama o śmierci Ewy. Zbolesnym, a nigdy nieukojonym żalem serca donoszę niniejszém wszystkim moim przyjaciołom, znajomym i dobrodziejom, że po długich cierpieniach rozstała się z tym światem i ze mną moja najukochańsza małżonka. Umarła ona na kompot z jabłek, który zbyt za gorąco zjadła! Jéj śmierć była samowolna i bez wszelkiéj pomocy lekarzy, w kwiecie najpiękniejszego wieku, bo nie miała nad lat ośmset. Z chlubą to wyznać mogę, iż tak wyśmienitéj żony nikt w świecie nié miał jeszcze! Że była mi wierną, to wszyscy moi spółcześni zaświadczyć mogą; że była powolną, to sam wąż najjadowitszy przyznać jéj musi; słowem, była wzorem wszystkich kobiet, od niéjto bowiem nauczył się ród ludzki nie jedno kwaśne zjeść jabłko!... Nie mogę nie wyznać tego, żem z nią mój raj utracił! Czém była dla kobiet w ogólności, to tylko jedynie kobiéty ocenić mogą, które wiedzą, że to ona była wynalezczynią sztuki ubiorowéj. Czém była jako korespondentka, o tém tylko redaktorowie powiedzieć mogą; ona bowiem piérwsza, która listka użyła! Czém była jako małżonka, niestety! to tylko mnie wiadomo! Nigdy się do innego męczyzny nie zaśmiała; nigdy mi nie dała pobudki do zazdrości; zawsze była przy moim boku; raz tylko oddaliła się od mojego boku, a to wtedy, kiedy z mego ziobra wyszła; przezco z jednéj księgi, księg dwoje zrobiła i stała się moją połowicą. O, byłato małżonka jakich mało! ona razem ze mną dług mój płaciła! Ileżto jeszcze innych cnót nie miała, które ją nad wszystkie jéj współczesnice wynoszą! Ona nie wychodziła nigdy na wizyty, nigdy beze mnie nie tańcowała walca, nigdy nie czytała francuzkich romansów, nigdy nie obmawiała swoich bliźnich, a jeźli się czasem zdarzyło, że kogo nie kochała, nikomu się tego nie zwierzyła, tylko swemu mężowi! O, byłato żona, jakich już nié ma i nie będzie! Niestety! straty mojéj nikt ocenić nie zdoła, tylko ten, co szczęśliwym przypadkiem w tym samym, co i ja znajdował się przypadku! Żyłem z nią lat ośmset, a zdaje się mi, jak gdybym tylko żył ośm minut szczęśliwych! Dopiéro, gdy umarła, poznałem, czém dla mnie była! Sam jeden, jak palec, stoję śród szerokiego okręgu świata! mdło mi się robi, gdy o tém pomyślę! Płaczcie więc ze mną wszyscy, którzy macie żony! a jeźli ich nie macie, nie możecie czuć mego żalu! Niechże w pokoju spoczywają jéj popioły, aby nie poszły na wszystkie wiatry! Ach, jakże chętnie sypię ten popioł na mą głowę, abym także raz miał pokój w pokoju! Wypraszam sobie wszelkie współubolewanie, na co tam spółki, gdzie ja sam wystarczę! Największą moją pociechą będzie, gdy się sam w sobie zamknę i *solo* mój smutek strawię. Jednakże wsmutku pogrążony wdowiec poleca się nadobnéj, tkliwéj płci żeńskiéj, dla dalszéj życzliwości! Zwłoki nieboszczki złożone będą do grobu pod tém samem drzewem, które i złe i dobre poznać mi dało.

(Humorysta.) Adam.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*